

Ks. Paweł Śmierzchalski: Hospicjum to niesienie Dobrej Nowiny poprzez posługę

To, że ludzie chorzy chcą śmierci jest kłamstwem. Zdecydowana większość osób, nawet tych, którzy bardzo cierpią, kochają życie. Do eutanazji i ogólnie do samobójstw doprowadza ludzi niemal wyłącznie przekonanie o zupełnym braku wartości w oczach kogokolwiek. Ten, kto czuje się ważny choćby dla jednej osoby, nie chce śmierci, bo zostaliśmy stworzeni, by żyć. Życie w relacji – mówi ks. Paweł Śmierzchalski MIC w rozmowie z Grzegorzem Kicińskim przeprowadzonej dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kościół pomagający.

Grzegorz Kiciński: Współczesna kultura z jednej strony zaprasza nas do kontemplowania śmierci, karmiąc nas zdjęciami katastrof, wojen, ofiar terroru czy kataklizmów. Z drugiej jednak strony wypiera z codzienności myśl o zbliżającej się śmierci osobistej – własnej i osób najbliższych. Rozmawiamy na zapleczu jednego z największych hospicjów domowych w Polsce i aż trudno nie zadać bardzo poważnego pytania – jak mówić o śmierci?

Ks. Paweł Śmierzchalski MIC, dyrektor Ośrodka Hospicjum

Domowe: Śmierć nigdy nie była tematem nośnym. Zawsze przed tym uciekamy. Ten problem ma każdy. Naprawdę każdy. Unikamy rozmów na ten temat ile się da. Ten paraliż ma swoje źródło w sercu człowieka, w pierwotnym zranieniu. Boimy się i już. Często słyszę od rodzin:

„Proszę księdza, jak do nas przyjdziecie, nie mówcie proszę, że jesteście z hospicjum, żeby się tato nie załamał”. Mówię wówczas, że jesteśmy opieką domową, bo rzeczywiście nią jesteśmy i robimy swoje.

Nic nie mówicie?

Po prostu jesteśmy. Nic na siłę. Opieka polega przede wszystkim na współpracy z rodziną a nie na wprowadzaniu swoich porządków. Ta współpraca odbywa się na wielu płaszczyznach. Ważną rolę ma do odegrania zarówno lekarz, pielęgniarka, psycholog i kapelan, ale nie do przeceniania jest też praca np. pracownika socjalnego, który pomaga przejść przez gąszcz przepisów, wniosków i całej „papierologii”, żeby rodzina mogła otrzymać zasiłki i dodatki. Najważniejsza praca jest do wykonania w domu, żeby chory mógł odchodzić wśród swoich bliskich, ale i blisko swoich książek, mebli, drzew za oknem. Żeby to było możliwe, trzeba być w nieustannej gotowości, by niemal natychmiast tak przeorganizować dom chorego, by z jednej strony czuł się jak u siebie a z drugiej – by dać mu jak najlepszą opiekę medyczną.

W waszym hospicjum są łóżka, materace, koncentratory tlenu, chodziki, wózki, wyposażenie łazienki i wszystko to, co niezbędne. Mam wrażenie, że jesteśmy na zapleczu frontu. Czuć gotowość do działania.

Te wszystkie rzeczy, które pan tu widzi trzeba mieć zaraz, na już. Połączmy to z faktem, że w ciągu roku 80 pracowników średnio służy ponad 1500 osobom a pod względem obsługiwanego terytorium jesteśmy największym hospicjum domowym w Polsce i mamy już

pewien obraz skali działania. Wiele razy otrzymuję telefony od rodziny, że za dwa dni tato wyjdzie ze szpitala i chcieliby, by do tego czasu udało się wszystko w domu zorganizować. Nie mogę wówczas powiedzieć: „Proszę zadzwonić za tydzień”. Chory tego czasu nie ma. Zaczyna się gonitwa z czasem. Wielu chorych, którzy do nas trafiają zderzyło się z nieludzkim obliczem instytucji a w hospicjum domowym od samego początku, od pierwszego zetknięcia chcemy by miało twarz człowieka a nie zimnej procedury. Tej troski o człowieka trzeba się nieustannie uczyć. W naszym hospicjum posługuje nie tylko 80-osobowy zespół składający się z lekarzy, pielęgniarek i fizjoterapeutów, ale także wolontariusze. Mamy wolontariat akcyjny, odpowiedzialny za zbiórki, wolontariat modlitewny, który nieustannie wspiera chorych i nas duchowo, jest też wolontariat towarzyszący rodzinom i chorym. Wolontariusz bardzo często jest jedyną osobą, która trwa przy chorym, zastępując rodzinę, której chory albo nigdy nie miał, albo został przez nią odtrącony.

Jaka jest rola Kościoła w tego typu dziełach? Czy chodzi tylko – lub aż – o posługę sakramentalną?

Dla mnie osobiście, ale także dla Kościoła, hospicjum domowe to przede wszystkim ewangelizacja, czyli niesienie ludziom Dobrej Nowiny poprzez posługę. Czasem bez słowa, ale zawsze z miłością. Opiekujemy się bardzo różnymi ludźmi o przeróżnym światopoglądzie. Uważam, że Kościół właśnie przy chorym ma najlepszą możliwość ukazać ludzkie oblicze. Ludzkie oblicze Chrystusa, który zawsze był blisko naszych niedomagań, biedy fizycznej i duchowej. Chrystus zawsze był blisko. Zawsze był przyjacielem człowieka, nigdy nikogo nie odtrącając. To jest nasza rola – ukazać tę życzliwą Obecność. Ona bardzo często jest najważniejszym argumentem, który przekonuje do

nawrócenia. Po wielu latach posługi w hospicjum mogę powiedzieć, że... bardzo lubię ateistów. Oni nie tylko mnie nawracają, ale także prowokują, żeby inaczej spojrzeć na człowieka, który jest w drodze, który szuka, który jest pogubiony wśród różnych doświadczeń. To, że akurat trafił do takiego ośrodka jak nasz, pod auspicjami Zgromadzenia Księży Marianów, jest wielkim przeżyciem dla nas wszystkich i niego samego. Czasem się krępuje, ale czuje przez skórę, że trafił do miejsca, w którym nie jest traktowany jak piąte koło u wozu. Rodzaj posługi, który przy chorym wykonuje cały zespół hospicyjny, sprawia, że ta osoba zaczyna myśleć nad całym swoim życiem, widzi szansę na szczerą rozmowę i o nią prosi. Dla mnie to największa radość, gdy w tych rozmowach mogę nie tylko pojednać tego człowieka z jego historią, ale przede wszystkim zawalczyć o jego życie wieczne.

Co księdzu daje motywację, by iść do ludzi umierających, od których świat się przecież odwraca? O stosunku ludzi do tematu choroby i śmierci najlepiej świadczą coraz bardziej restrykcyjne projekty eutanazyjne, które traktują ludzi chorych i starych jak problem utylizacyjny. Dlaczego ksiądz chce iść do umierających?

Bardzo często wiem, że nic od chorych do których idę nie usłyszę, bo czasem już nie mogą mówić. Niekiedy złapią tylko za rękę i patrzą. Ciągle przeżywam to na nowo, bo wiem że uczestniczę w czymś wyjątkowym, w misterium, w chwili która nigdy się już nie powtórzy. Za każdym razem jest to niepowtarzalny dar. Idę służyć, ale prawda jest taka, że to ja jestem ciągle obdarowywany obecnością chorego. Wspomniał pan o chęci pozbywania się chorego z domu. Cóż. Mam nieco inne doświadczenie. Może dlatego, że tak samo ważne – jak bycie przy chorym – jest dla nas także towarzyszenie ludziom, którzy żegnają umierającego. Nie zapominamy o nich. I choć rzeczywiście –

uogólniając temat – mówi się, że ludzie chcą pozbywać się z domu problemu chorego, Polska pod tym względem jest inna, a mówiąc bardziej precyzyjnie – nasze doświadczenie jest inne. Bardzo dużo ludzi właśnie chce, by chory był w domu, żeby jeszcze wszyscy mogli spędzić z nim ten ostatni etap. Fakt, że jeśli ktoś choruje kilka miesięcy, czasem dłużej niż rok, zmęczenie rodziny jest ogromne. Średnia statystyczna opieki hospicyjnej w domu wynosi trzy miesiące. To długo i krótko zarazem. Długo pod względem wyzwania logistycznego i medycznego, ale krótko dla tych, których się kocha. Robimy wszystko, by rodzinę odciążać, by dać jej wytchnienie i by ten krótki czas był jak najbardziej płodny.

Co mówią cierpiący o eutanazji?

To, że ludzie chorzy chcą śmierci jest kłamstwem. Zdecydowana większość osób, nawet tych, którzy bardzo cierpią, kochają życie. Do eutanazji i ogólnie do samobójstw doprowadza ludzi niemal wyłącznie przekonanie o zupełnym braku wartości w oczach kogokolwiek. Ten, kto czuje się ważny choćby dla jednej osoby, nie chce śmierci, bo zostaliśmy stworzeni, by żyć. Żyć w relacji.

W tej dziedzinie istnieje ogromne zamieszanie, także w sferze kultury i polityki.

Kultura i prawodawstwo, które promują eutanazję, odczłowieczają Państwo, wprowadzając w krwiobieg społeczny truciznę kłamstw na temat cierpienia i śmierci. Nie zostaliśmy stworzeni do samotności i

śmierci. Jesteśmy by kochać i żyć wiecznie, ale wiele osób tego nie doświadcza.

W kasowych filmach ale i w świecie muzyki ciągle pojawiają się pozytywni bohaterowie, którzy wybierają eutanazję lub samobójstwo jako najwłaściwszą formę pożegnania się z życiem. Jak to mówią – pożegnania z jego bezsensu.

Nie zapomnę słów jednej z chorych, która powiedziała mi w oczy, że bardzo się cieszy, że zachorowała. Zapytałem: „Jak to, Krysia, dlaczego się cieszysz?”. A ona mi na to: „Bo wie ksiądz, ja przez wiele lat byłam po prostu sama. Nawet córka wyjechała a potem zginęła w wypadku. Teraz jednak przychodzą do mnie cudowni ludzie, ciągle ktoś ze mną jest. To cudowny czas. Teraz poczułam co to znaczy życie, więc cieszę się, że jestem chora, bo dzięki tej chorobie nie jestem sama”.

Często sobie zadaję pytanie czy nie zwolnić tępa, wprowadzić kolejkę oczekujących, zabezpieczyć się, żeby nie było takiej niepewności czy raczej iść na całość i nikomu nie odmawiać. Zawsze jednak – po krótkiej walce – stawiam na Bożą Opatrzność i jeszcze nigdy się na niej nie zawiodłem. Nie chodzi tylko o pieniądze, choć ten aspekt jest dużym ciężarem, ale także o ludzi, o personel, bo w hospicjum nie każdy może pracować. Poza tym – to nawet nie do końca jest praca, ale bardzo szczególna forma posługi. Jeśli ktoś przychodzi, by tutaj tylko pracować, to bardzo szybko dochodzi do wniosku, że to nie dla niego. To jest miejsce służby i również rezygnacji z własnego „ja”, ponieważ rodzina wkracza bardzo mocno w nasze osobiste życie, dzwoniąc np. w środku nocy na prywatną komórkę, prosząc o pomoc. Czasem chcą po prostu kogoś usłyszeć. Chcąc nie chcąc stajemy się członkami rodziny.

Każdy staje się ważny. W tym misterium obecności w rodzinie wymieniamy się swoim czasem, historiami, doświadczeniem, łzami. To nie jest praca „od do”. To jest zgoda na stanie się sługą rodziny.

Czym jest czas, który został choremu do śmierci, jak ludzie go wykorzystują w domu?

Wolontariusz z hospicjum bardzo często jest jedyną osobą, która trwa przy chorym, zastępując rodzinę, której chory albo nigdy nie miał, albo został przez nią odtrącony

Z doświadczenia widzę, że jest to czas szczególnej łaski. Czas, w którym pojawia się szansa na przebaczenie, pojednanie, wypowiedzenie wielu słów, których nie dałoby się

wypowiedzieć na sali szpitalnej czy nawet w hospicjum stacjonarnym. Poczucie bezpieczeństwa wśród najbliższych jest nie do przecenienia. Ważne jest to, że spotkania z najbliższymi odbywają się w sytuacji całkowitego ogołocenia, bezsilności. Często chory nic nie może zrobić. Jest zdany na opiekę osób najbliższych. To jest szczególny czas dojrzewania do nieba zarówno dla niego, jak i dla tych, którzy mu towarzyszą. Każdy z nas jest zaproszony do wyjścia z tego świata. To wyjście zaczyna się od rezygnacji z siebie, ze swoich spraw, zabezpieczeń, planów. Najpierw dzieje się to właśnie dzięki chorobie najbliższej osoby. Musimy zmienić swoje plany, zrezygnować z nich. To nas uczy naszego umierania, które również przyjdzie. Zgodzić się na większy trud, zmęczenie. Jeżeli ktoś ten czas zmarnuje, nie przewartościowując swojego życia w obliczu śmierci najbliższej osoby

to później jest mu bardzo trudno przeżyć czas żałoby. Wyrzuty sumienia miażdżą wówczas ludzi niemiłosiernie. Żałoba jest czasem poukładania swojego życia, ale także odpowiedzi na pytanie „po co to było?”, „co dało to doświadczenie?”. Żałoba to nie tylko żal, ale także czas cichej wdzięczności. W czasie żałoby ludzie bardzo często wspominają, że w czasie choroby najbliższej osoby, przeżyli najpiękniejsze chwile. Jedności, miłości, przebaczenia, akceptacji.

Przykłady życia na nowo...

Mam takie doświadczenie umierania bardzo młodego człowieka, który miał raptem 26 lat. Bardzo utalentowany. W czasie jego choroby towarzyszyli mu jego rodzice i czwórka rodzeństwa. Trwało to kilka miesięcy. Rozmawiałem z nim wieczorem. Rano zmarł. Byłem ostatnią osobą, do której coś powiedział. Usłyszałem wówczas: „Kocham i dziękuję”. „Kocham i dziękuję, że byliście ze mną do końca”. Kiedy trafiam do domów bardzo bogatych i gdy jestem w domach ubogich, nawet w melinach, to widzę jedno – czas jest krótki, zupełnie niezależny od pieniędzy, sukcesu i mądrości. W tym życiu, w którym bardzo często chcemy wszystko brać tylko dla siebie, ciągle się sycąc, w obliczu śmierci najbliższej osoby, stajemy wobec możliwości oddania siebie drugiemu, choć odrobinę. To jest bardzo wielka szansa na odnalezienie sensu życia, bo człowiek żyje tylko o ile daje się drugiemu. Tej postawy uczą mnie także wolontariusze. Przychodzą do nas osoby, które doświadczyły olbrzymiego dobra i czują, że najlepsze co mogą zrobić to się tym dobrem podzielić. I zostają. Szczęśliwe.

Nie powie mi jednak ksiądz, że wszystko idzie tak gładko.

Zdarzają się przecież chorzy, którzy obrzucają wszystkich błotem.

Kiedy mamy chorych, którzy się buntują, wówczas zostają jedynie proste znaki obecności. Słowa w ogóle nie wchodzi w grę. Kiedyś byłem u chorego, który nie chciał nie tylko rozmawiać z księdzem, ale nawet widzieć mnie na oczy. Kiedy mnie zobaczył w koloratce, dał jasny sygnał, żebym wyszedł. Po kilku minutach zostałem jednak poproszony, bo pielęgniarka potrzebowała mojej pomocy. Wykonałem jej polecenia a w trakcie tych pielęgniarskich czynności zwyczajnie rozmawialiśmy. Chory mówił do mnie per pan, choć byłem pod koloratką. Wyszliśmy. Mijały tygodnie, miesiące. Lekarz i pielęgniarka wracali tam wielokrotnie, lecz ja ani razu. Przyszedł jednak moment, w którym chory poprosił, żeby przyjechał do niego ten „pan w koloratce”, który był u niego na początku. Chciał pogadać. Przyjechałem nie licząc na nic. Skończyło się piękną spowiedzią i pojednaniem. Jego żona również była poruszona. Dziękowała za ludzkie oblicze. Normalne. Te wszystkie chwile nauczyły mnie, że nie mam żadnego prawa kogokolwiek osądzać za jego życie i wybory. Ludzkie serce jest po prostu tajemnicą. Życie ludzkie również. Ja po prostu patrzę jak Bóg codziennie pisze zaskakujące scenariusze.

Co znalazłoby się na liście rzeczy, które ludzie najczęściej żałują na koniec życia?

Że źle wykorzystali czas.

Co to znaczy „źle wykorzystać czas”?

Że stracili wiele szans, które Bóg dawał w ciągu życia, ale to jest bardzo otwarte stwierdzenie. Umieranie przygotowuje do przejścia na drugą stronę. Powoli wszelkie aktywności odchodzą na dalszy plan. Bóg jakby wygaszał ciało aż do odejścia. Pytanie o wykorzystanie czasu nie ma jednak gotowej odpowiedzi, ponieważ każdy człowiek ma odrębną historię. Często słyszę od chorych, że chcieliby zdążyć jeszcze z kimś się spotkać. Mam w głowie przykład człowieka, który gdy zorientował się, że zostało mu niewiele czasu, postanowił napisać do każdej bliskiej osoby list. Okazało się, że każdemu za coś dziękował. Mamie i tacie napisał jeszcze, żeby gdy będzie odchodził, byli przy nim blisko. Poprosił o obecność, bo pragnął umierać otoczony miłością i dawać miłość umierając. Osoby chore nie pragną bowiem naszych prezentów. Okazuje się, że nawet te najbardziej dziś pożądane, jak najnowocześniejsze smartfony, wielkie podróże czy samochody nie znaczą kompletnie nic. Liczy się tylko obecność. Dar zwykłej, bezinteresownej obecności jest tym, co uszczęśliwia zarówno obdarowanego, jak i samego dawcę. Przypominam sobie takiego chorego, który nie mógł już się w ogóle ruszać. Mógł tylko leżeć. Wnuczki, które ciągle do niego pisały przesyłały także rysunki. Wszystkie te rysunki zostały przyklejone do sufitu, żeby dziadek mógł na nie patrzeć. Był na nich cały dziecięcy świat. Bociany, samoloty, kwiaty, księżniczki. Chory nie mógł nic powiedzieć, ale był niezwykle szczęśliwy, że jego wnuczki, choć są bardzo daleko, ciągle o nim pamiętają.

Gdy się kogoś puszcza przodem przez drzwi, czasem można zajrzeć gdzie ta osoba wchodzi. Księdzu zdarzyło się w ten sposób zajrzeć do nieba? Wiele osób traktuje księży, jak jeden z wielu

zawodów. „Skoro jest księdzem, musi tak gadać o tym niebie”. Ale ksiądz jest również człowiekiem, który sam przecież zmierza do granicy, którą przekraczają chorzy.

Widzę np., że jestem coraz bardziej łysy. Zauważam, że się szybciej męczę. To są informacje, które mówią także o moim odchodzeniu a raczej przybliżaniu się do przejścia. Chorzy uczą mnie przejścia z ufnością. A sam temat śmierci jest związany z początkiem mojego powołania, które czułem od dziecka. Miałem wówczas cztery i pół roku. Zmarł w mojej parafii ks. Karol Mazurek, który był proboszczem aż 33 lata. Przyjaciel mojego domu rodzinnego. Nie pamiętam go jednak w przeciwieństwie do pogrzebu, który zapamiętałem w szczegółach. Zgubiłem się. Odnalazła mnie ciocia. Nie wiedziałem za bardzo o co chodzi, ale byłem przekonany, że chodzi o coś ważnego. Wszyscy płakali, bo wszyscy go kochali. Bardzo chciałem się dopchać do trumny na cmentarzu. Pomógł mi w tym dziadek. Gdy już tam byłem, zobaczyłem samych płaczących, smutnych ludzi. Odkręciłem się wówczas do dziadka i stanowczym głosem oznajmiłem, że chcę być księdzem, żeby ludzie nie byli tacy smutni. Mam nadzieję, że jestem wierny temu pierwszemu powołaniu.

Rozmawiał Grzegorz Kiciński